

Umma Gomma

nr 4/2026

SP11 Jarosław



Niezwykła rozmowa z Panią Magdą Skubisz, pisarką, autorką wielu książek, m.in. słynnej sagi rodu Tyszkowskich



Co zainspirowało Panią do pisania?

Inspiracją do pisania stały się przede wszystkim książki, które czytałam od najmłodszych lat, oraz historie ludzi, których spotykałam na swojej drodze. Zawsze fascynowało mnie tworzenie własnych światów i bohaterów, a pisanie stało się sposobem na rozwijanie tej pasji. Dużą motywację dawała mi również chęć dzielenia się emocjami i opowieściami z czytelnikami.

Proszę opowiedzieć o swojej debiutanckiej powieści.

„LO Story” opowiada o licealistach z Przemyśla i ich szkolnych przygodach, opisanych z dużą dawką humoru i ironii. Książka wzbudziła spore kontrowersje w moim rodzinnym mieście – część nauczycieli uznała, że zbyt krytycznie przedstawiałam szkołę, a moi byli pedagodzy skierowali do wydawnictwa list protestacyjny. Mimo tego czytelnicy bardzo polubili mój debiut, a powieść doczekała się aż czterech wydań, co było dla mnie ogromnym sukcesem. Co ciekawe: tę „antyszkolną” książkę pisałam pod opieką wspaniałej polonistki, Doroty Kosteckiej, która

potem ją tak doskonale zredagowała, że mój pierwszy wydawca, czyli Wydawnictwo Prószyński, stwierdził, że tekst jest w zasadzie gotowy do druku.

Z jakimi problemami musi się borykać pisarz w dzisiejszych czasach?

Myślę, że największe wyzwanie, to duża konkurencja i ogromna liczba książek pojawiających się na rynku: szacuje się, że codziennie wychodzi około sześćdziesięciu nowych tytułów. Coraz częściej od autorów oczekuje się także aktywności w mediach społecznościowych i samodzielnego promowania swojej twórczości (mój największy złodziej uwagi ☺). Jednak największym wyzwaniem jest znalezienie czasu na wymyślenie intrygującej fabuły – to ostatnie jest szczególnie uciążliwe, bo kiedy myślę, wyglądam, jakbym nic nie robiła ☺

Wiemy, że pisząc swoje książki, bazuje Pani na historii i skupia się na XIX wieku. Dlatego akurat ten czas?

XIX wiek zainteresował mnie między innymi dzięki lokalnym historiom, które można odnaleźć w naszym regionie. Inspiracją do napisania „Aptekarki” była opowieść zasłyszana



od sąsiada, a jej rozwinięcie wymagało bardzo solidnego researchu, poszukiwań w archiwach i rozmaitych tekstach źródłowych. Ważnym elementem książki jest także ziołolecznictwo, które właśnie w XIX wieku przeżywało swój rozkwit i odgrywało istotną rolę w codziennym życiu mieszkańców Galicji. Na potrzeby napisania Sagi rodu Tyszkowskich ukończyłam kurs zielarski, żeby wiedzieć o ziołach tyle, co moja bohaterka.

Gdyby mogła Pani przenieść się na jeden dzień do XIX wieku, do jakiego miejsca i na co najpierw zwróciłaby Pani uwagę (co chciałaby Pani sprawdzić na własne oczy)?

Gdybym mogła przenieść się na jeden dzień do XIX wieku, wybrałabym Galicję – najlepiej okolice Przemyśla lub Sanoka, czyli miejsca, które są mi szczególnie bliskie jako autorce pasjonującej się lokalną historią. Najbardziej chciałabym zobaczyć zwyczajny dzień zwyczajnych ludzi. W książkach i dokumentach znajdujemy wiele informacji o wielkich wydarzeniach, polityce czy znaczących postaciach naszego regionu, ale znacznie trudniej uchwycić codzienność. Dlatego najpierw zwróciłabym uwagę na szczegóły: jak naprawdę wyglądały drogi, jak pachniały miasta i wsie (pewnie niezbyt przyjemnie ☺), jak ludzie byli ubrani na co dzień, a nie od święta. Chciałabym usłyszeć język, którym się posługiwali, tempo ich mówienia, regionalne zwroty i akcenty. A jeśli miałabym możliwość zajrzeć do dworu szlacheckiego, z pewnością sprawdziłabym, na ile moje wyobrażenia o życiu bohaterów Sagi rodu Tyszkowskich są zgodne z rzeczywistością. Czy rozmowy przy stole wyglądały tak, jak je opisuję? Czy domownicy mieli podobne zwyczaje? Z pewnością taka jednodniowa podróż wehikułem czasu, byłaby bezcenna ☺

Jakie warunki muszą być spełnione, by zasiadła Pani do pisania? Potrzebuje Pani absolutnej ciszy i sporej ilości kawy, czy potrafi Pani pisać w każdych warunkach?

Nie należę do osób, które potrzebują idealnych warunków do pracy. Oczywiście cisza i spokój pomagają, ale przez lata nauczyłam się pracować w bardzo różnych okolicznościach, np. w pociągu, podczas dojazdów do pracy. Kawy nie piję, za to jestem namiętną fanką yerba mate.

Co jest najmniej przyjemne w pisaniu? Co Panią najbardziej denerwuje?

Telefony, wiadomości w mediach społecznościowych i inne nieprzewidziane zdarzenia, które odrywają od pracy i czasem potrafią rozproszyć na wiele godzin. Wyzwaniem jest także poszukiwanie informacji. Z jednej strony bardzo lubię historyczny research, bo pozwala odkrywać fascynujące szczegóły z naszej przeszłości, ale z drugiej zdarza się, że przez długi czas nie mogę znaleźć odpowiedzi np. na jedno pytanie, które jest potrzebne do napisania kilku zdań albo do dobrego poprowadzenia fabuły.

Czy swoim bohaterom nadaje Pani czasami swoje cechy charakteru?

Bardzo często ☺ Dlatego są aroganccy, niemili i brzydko przeklinają... ☺

Książka, która zrobiła na Pani największe wrażenie?

Sporo ich jest, ale jeśli chodzi o klimat, język i historyczny research, to chyba Carlos Ruiz Zafon i jego znakomita seria „Cmentarz Zapomnianych Książek”.

Dlaczego młodzi ludzie tak bardzo nie lubią czytać? W jaki sposób przekonałaby ich Pani, że warto sięgać po książki?

Wystarczy spojrzeć na dowolne targi książki, żeby obalić ten mit. Zdecydowana większość odwiedzających to właśnie młodzi czytelnicy, często ustawiający się w długich kolejkach po autografy i ulubione tytuły. Myślę, że problem nie polega na niechęci do czytania, lecz na tym, że młodzi ludzie chcą sięgać po książki, które naprawdę ich interesują i odpowiadają na ich emocje oraz potrzeby. Spójrzmy na aktualną listę lektur szkolnych - jest mocno skostniała, anachroniczna, i – o, zgrozo – ta sama od kilkadziesiąt lat. Często dominuje w niej niezrozumiała, przestarzała fraza, problemy kompletnie obce współczesnej młodzieży, nie wspominając o nużących opisach przyrody... Pamiętam własne męczarnie przy „Dziadach” czy „Chłopcach z Placu Broni” i mogę tylko współczuć kolejnym pokoleniom, które nabierają przekonania, że istotą literatury jest cierpienie.

A w jaki sposób przekonałabym młodych ludzi do czytania? Pewnie pojechałabym z nimi na targi książki i pokazała, że każdy może znaleźć pozycję w sam raz dla siebie.

Jakie jest Pani marzenie związane z pracą pisarza?

Chciałabym zobaczyć swoje książki na ekranie w formie filmu lub serialu.

Którą z własnych bohaterek najbardziej Pani podziwia i dlaczego?

Każdą po trochu, ale chyba najbardziej Wiktorię Tyszkowską – matkę głównych bohaterów sagi, autentyczną postać, żyjącą w połowie XIX wieku. Cenię ją za siłę charakteru, odwagę i determinację w dążeniu do celu, zwłaszcza że przyszło jej egzystować w czasach, które nie dawały kobietom zbyt wielu możliwości decydowania o własnym losie.

Jak lubi Pani spędzać wolny czas?

Uczę swojego kota aportować ☺ Mamy już pewne sukcesy w tej dziedzinie i można je śledzić na moich mediach społecznościowych.

Jakie jest Pani największe marzenie?

Zamieszkać na Malediwach ☺

**Bardzo dziękujemy za wywiad.
Koło dziennikarskie**

Wywiad z Panią Izabelą Roga - logopedą pracującą w naszej szkole



Dlaczego została Pani logopedą?

Zainspirowała mnie praca pani logopedy w moim przedszkolu. Pamiętam, że moje koleżanki chodziły do niej na zajęcia i zawsze wracały niezwykle zadowolone, niosąc ze sobą naklejki lub słodycze. Bardzo mi się to wtedy podobało.

Co uważa Pani za najciekawsze w swojej pracy?

Najciekawsze są chyba spotkania z dziećmi. Każde dziecko jest inne i w mojej pracy nigdy nie ma dwóch takich samych przypadków. Nawet jeśli dzieci są w tym samym wieku, to każde z nich przychodzi z zupełnie innym problemem i potrzebuje innego podejścia.

Jaki był najtrudniejszy moment w Pani pracy?

Takie momenty zdarzają się wtedy, gdy trafiają do mnie dzieci z głębokimi zaburzeniami zachowania.

Praca z nimi bywa dla mnie największym wyzwaniem.

Czego Pani nie lubi w swojej pracy?

Jeśli chodzi o pracę w szkole, to najbardziej doskwiera mi ograniczony kontakt z rodzicami. Czasami rodzice nie chcą podejmować współpracy lub nie wyrażają chęci na spotkania, a bez ich zaangażowania trudno o szybkie efekty.

Jeśli uczeń ma wadę wymowy, ile czasu zajmuje jej pokonanie?

To zależy od wielu czynników: od rodzaju wady, zaangażowania ucznia oraz od tego, czy systematycznie ćwiczy w domu. Pokonanie niektórych wad zajmuje około trzech miesięcy, ale w trudniejszych przypadkach terapia może trwać nawet kilka lat.

Jakie miała Pani marzenie w dzieciństwie?

Gdy byłam małym dzieckiem, moim największym marzeniem było zobaczyć morze.

Jakie ma Pani marzenie teraz?

Chciałabym mieć więcej czasu dla siebie. Marzę o tym, aby móc spokojnie usiąść, napić się herbaty i poczytać książkę bez ciągłego pośpiechu.

Co lubi Pani robić w wolnej chwili?

Niestety, obecnie mam bardzo mało wolnego czasu. Jednak kiedy tylko mam taką możliwość, najchętniej sięgam po dobrą książkę.

Czy był taki przypadek, z którym sobie Pani nie poradziła?

Trudno mi odpowiedzieć na to pytanie. Czasami terapia w szkole zostaje nagle przerwana – na przykład uczeń kończy szkołę podstawową, idzie do liceum i tracę z nim kontakt. Nie zawsze wiem, jak potoczyły się ich dalsze losy.

Które miejsce wspomina Pani najlepiej?

Jeśli chodzi o pracę, najmilej wspominam szkołę w Słocinie. Bardzo pozytywnie zaskoczyły mnie tam dzieci. Choć byłam tam nowa i nikt mnie nie znał, wszyscy uczniowie pierwsi mówili mi „dzień dobry”. To było niezwykle miłe. Natomiast poza pracą... chyba najbardziej lubię wracać po prostu do własnego domu.

Jaki sukces osiągnęła Pani w swojej pracy?

Pomogłam wielu dzieciom i mam nadzieję, że pomogę jeszcze wielu kolejnym. Szczególnie pamiętam jedno dziecko, które przyszło do mnie z zapłakaną mamą. Chłopiec miał diagnozę, że nigdy nie będzie mówił. Po kilku latach terapii wyszedł z pełną, płynną mową. Dziś jest już dorosłym człowiekiem i świetnie sobie radzi. Takie sytuacje to moje największe sukcesy.

Do jakiego miejsca na świecie chciałaby Pani pojechać?

Bardzo lubię swój kraj i polską przyrodę. Moim wymarzonym miejscem byłaby spokojna góra, polana lub bezлюдna plaża nad morzem – miejsce, gdzie mogłabym odpocząć w ciszy, z dala od tłumów.

Dziękujemy za wywiad.

Maja, Julka
koło dziennikarskie

Rozmowa z Robertem Konatowiczem (Radio Kraków)



Jak to się stało, że pracuje Pan w Radiu Kraków?

Pracowałem w wielu miejscach, między innymi przez wiele wspaniałych lat w Radiu RMF FM. Prowadziliśmy tam bardzo dużo ciekawych programów nadawanych z całego świata. Po latach ta radiowa ścieżka przyprowadziła mnie tutaj – do Radia Kraków, gdzie wciąż mam przyjemność dzielić się ze słuchaczami swoją pasją.

Co lubi Pan najbardziej w swojej pracy?

To, że spotykam bardzo wielu ciekawych ludzi – na przykład dzięki Wam stałem się miłośnikiem kotów! Spotkanie z

drugim człowiekiem jest zawsze fascynujące, a radio daje nam właśnie taką niesamowitą, bezpośrednią możliwość.

Jakie jest Pana największe marzenie?

O, to trudne pytanie. Jestem już w dojrzałym wieku i nie mam wielkich, osobistych marzeń. Przypomniało mi się jednak, że kiedyś, gdy oglądało się konkursy piękności, zawsze padało tam pytanie o marzenia uczestniczek. Ich odpowiedź była zazwyczaj bardzo podobna: pokój na świecie i to, aby wszystkie dzieci były szczęśliwe... I ja się dzisiaj pod tym z całego serca podpisuję.



Jaka była Pana najtrudniejsza lub najbardziej komiczna sytuacja na antenie?

Oj, komicznych sytuacji przez te dekady było mnóstwo! Na przykład kiedyś, gdy prowadziłem program na żywo w RMF FM, miałem zadzwonić do osoby, która wygrała 500 000 złotych. Słuchaczka, do której się dodzwoniłem – pochodząca zresztą z

okolic Jarosławia – odebrała telefon i z rozbijającą szczerością powiedziała prosto do mikrofonu: „Ale ja się właśnie kąpię!”.

Innym razem, gdy nadawaliśmy na żywo z zagranicy, pojawił się problem z opóźnieniem sygnału i na moment gubiliśmy wątek. Łączyliśmy się wtedy z Paryżem, a o pełnej godzinie serwis informacyjny miała poprowadzić Ewa Drzyzga. Nagle w głośnikach zamiast niej odezwał się gruby, męski głos. Słuchacze byli mocno zaskoczeni, bo ten głos w ogóle nie należał do znanej dziennikarki!

Co dzieje się w studiu, kiedy leci muzyka?

Oj, dzieją się wtedy najróżniejsze rzeczy. Czasami człowiek po prostu odpływa myślami i zastanawia się, co zje na obiad albo co dobrego udusi na maśle. A na ekranie komputera przez cały ten czas nieubłaganie odlicza się realizatorski zegar, pokazując, za ile sekund skończy się piosenka. Gdy gra muzyka, mikrofony w studiu są całkowicie wyłączone, więc możemy swobodnie rozmawiać o wszystkim.

Dziękujemy za wywiad.

Koło dziennikarskie

Rozmowa z panem Mariuszem Turkiem o pasji podróżowania

Jak rozpoczęła się Pana przygoda z podróżami?

Może na początek powiem, ile mam lat – mam 63 lata, czyli jestem zapewne w wieku niektórych z Waszych dziadków. Jednak wiek nie jest żadną barierą. W każdym wieku można realizować swoje marzenia. Moja przygoda z podróżami rozpoczęła się zaraz po skończeniu szkoły podstawowej. Najpierw były to Bieszczady i Tatry, potem Ukraina oraz Słowacja. Z czasem ruszyłem dalej: Włochy, Chorwacja, Francja, Monako, Barcelona, Węgry i wiele innych miejsc.



Pamięta Pan swoją pierwszą samodzielną podróż?

Tak, doskonale ją pamiętam, bo to był wyjazd do Myszkowiec. Pierwszy raz wyrwałem się wtedy z domu. Spakowałem do plecaka konserwy i ruszyłem w kierunku Ustrzyk Górnych. To była moja pierwsza, w pełni samodzielna wyprawa – bez rodziców, zdany

tylko na siebie. Właśnie wtedy spotkałem na swojej drodze niesamowitych, bardzo ciekawych ludzi.

Wiele osób w Pana wieku uważa, że na ekstremalne wyprawy jest już za późno. Co powiedziałby Pan swoim rówieśnikom, którzy boją się ruszyć z domu?

Powiedziałbym im jedno: nie czekajcie na idealny moment, bo taki nigdy nie nadejdzie! Najtrudniejszy jest zawsze ten pierwszy krok, czyli zamknięcie za sobą drzwi od domu i przekręcenie klucza w zamku. Potem już się po prostu jedzie. Oczywiście, że ciało w wieku 63 lat regeneruje się wolniej niż u dwudziestolatka, czasem coś strzyknie w kolanie, a podjazd wydaje się bardziej stromy. Ale wiek daje też coś pięknego – ogromny spokój, dystans i cierpliwość, których młodym często brakuje. Ruch to życie, a marzenia nie mają daty ważności.

Nocowanie pod namiotem w nieznanym miejscu potrafi budzić strach. Jak sobie Pan z tym radzi?

Ja po prostu śpię bardzo twardo. Moja żona na czas snu wkłada w uszy zatyczki, na oczy zakłada opaskę i dzięki temu nie słyszymy nic, co dzieje się obok. Może to brzmieć zabawnie, ale jeśli śpi się w zupełnie nieznanym miejscu, gdzie jedyną barierą między człowiekiem a

dziką przestrzenią jest cienki materiał namiotu, to słyszy się każdy dźwięk. Każde trzaśnięcie gałązki, każdy odgłos kręcącego się wokół zwierzaka. Wyobraźnia potrafi wtedy tak podkreślić te zwyczajne odgłosy, że człowiek zaczyna się autentycznie bać.

Dobry sen to podstawa, a jeśli chodzi o bezpieczeństwo – uważam, że ludzie z natury są dobrzy i to przekonanie wystarczy. Trzeba w sobie przełamać strach i nie zakładać z góry, że coś złego nas spotka. Oczywiście kluczem jest szacunek do kultury i obyczajów kraju, w którym się znajdujemy. Na przykład w Iranie, gdy wchodziliśmy do meczetu, moja żona musiała zasłonić ramiona i głowę. Ja również musiałem chodzić w długich spodniach, bo takie są tam zasady. W irańskim metrze czy innych miejscach publicznych funkcjonuje segregacja płciowa. Dla kobiet to zresztą świetne rozwiązanie, bo mają święty spokój od



cisnących się facetów. Ja jako turysta mogłem akurat podróżować wagonem dla kobiet, ale miejscowi mężczyźni już nie.

A jak dba Pan o bezpieczeństwo od strony czysto praktycznej, formalnej?

Zawsze przed wyjazdem wykupujemy dość drogie ubezpieczenie. Choć na co dzień

podróżujemy bardzo budżetowo i oszczędzamy na czym się da, to na polisie nigdy nie oszczędzamy. Chodzi o to, aby mieć pewność, że w razie jakichkolwiek problemów zdrowotnych będzie nas stać na leczenie – w niektórych krajach koszty medyczne są astronomiczne. Przy wyjeździe do Iranu wiza wręcz wymagała ubezpieczenia, które pokrywało transport zwłok. Warto zapłacić za taką polisę i nigdy z niej nie skorzystać, ale mieć psychiczny komfort. Przy okazji mała rada: w Szwajcarii nigdy nie telefonujcie z polskich numerów bez pakietów roamingowych, bo tamtejsze stawki potrafią zrujnować!

Który kraj wywarł na Panu największe wrażenie?

Będę tutaj monotematyczny: Iran. Tamtejsza kultura, religia, ludzie i otoczenie wywarły na mnie kolosalne wrażenie. Kocham pustynię i przestrzenie, które nie są mocno zabudowane. Razem z żoną bardzo rzadko odwiedzamy muzea. Nie wynika to z braku szacunku do sztuki, ale z faktu, że są to miejsca zazwyczaj potwornie zatłoczone i drogie. Wyjątkiem był na przykład Madryt, gdzie do słynnego Muzeum Prado można było wejść za darmo po godzinie piętnastej, podczas gdy normalny bilet kosztuje kilkadziesiąt euro.

Nie jestem koneserem malarstwa i oglądając dzieła wielkich mistrzów w Prado, nie potrafiłem w pełni dostrzec tego piękna, które w nich tkwi. Za to kiedy wieczorem usiadłem sobie sam przy ognisku, w zupełnej ciszy, podczas gdy żona poszła już spać... Słuchajcie, żadne muzeum nie zastąpi takiego bliskiego bycia z przyrodą. Co ciekawe, po latach najlepiej wspomina się te chwile, kiedy na wyprawie było cholernie ciężko – gdy człowiek zaliczał

morderczy podjazd pod górę, padał ulewny deszcz i waliły pioruny. Wtedy czułeś się fatalnie, ale to właśnie takie momenty najmocniej zapadają w pamięć.

Wspomniał Pan o Madrycie. To właśnie w Hiszpanii dwukrotnie pokonał Pan słynne Camino de Santiago (Szlak św. Jakuba). Czym dla Pana były te wyprawy?

Camino de Santiago to zupełnie coś innego niż zwykła wycieczka turystyczna. Kiedy jedziesz rowerem przez setki kilometrów, mijasz Pireneje, hiszpańskie wioski i bezkresne płaskowyże, wchodzisz w pewien rytm. Każdy dzień wygląda podobnie: wstajesz rano, pakujesz sakwy, wsiadasz na rower i jedziesz przed siebie, podążając za symbolem żółtej muszli.

Dla mnie i dla mojej żony te wyprawy były niesamowitą lekcją pokory. Na Camino nie ma znaczenia, kim jesteś z zawodu, ile masz pieniędzy czy ile masz lat. Wszyscy na szlaku – zarówno pielgrzymi idący pieszo, jak i my, rowerzyści (nazywani tam *bicigrinos*) – stają się jedną wielką rodziną. Każdy każdemu życzy „Buen Camino!” (Dobrej drogi!). Kiedy po wielu dniach trudów dociera się na plac przed katedrą w Santiago de Compostela, emocje są nie do opisania. Człowiek czuje ogromne zmęczenie, ale też niesamowitą, wewnętrzną radość. To właśnie na Camino zrozumieliśmy, że w podróży najważniejsza jest sama droga i ludzie, których na niej spotykasz, a nie tylko cel, do którego zmierzasz. Fakt, że wróciliśmy tam drugi raz, jest najlepszym dowodem na to, że ten szlak po prostu uzależnia.

Czy podczas hiszpańskich wypraw przeżył Pan kiedyś sytuację, która była naprawdę niebezpieczna lub stresująca?

O tak, to wydarzyło się właśnie w Madrycie, kiedy kończyliśmy nasz drugi rajd szlakiem Camino de Santiago. Jechaliśmy z rowerami z kempingu w centrum miasta na lotnisko. Na miejscu zacząłem rozkręcać rowery, żeby owinać je folią do transportu – odkręcałem pedały, kierownice i tak dalej. Kątem oka sprawdzałem tablicę odlotów. Zazwyczaj samolot pojawia się na niej na dwie godziny przed startem. Mija dziesięć, piętnaście, dwadzieścia minut, a naszego lotu nie ma. Zaczęliśmy sprawdzać i okazało się, że przez moją własną głupotę pojechałem nie na to lotnisko, co trzeba! Madryt ma dwa lotniska, a my byliśmy na niewłaściwym.

Musieliśmy w ekspresowym tempie skrócić rowery z powrotem. Na szczęście drugie lotnisko było oddalone tylko o jakieś 6 kilometrów. Pognaliśmy tam i na szczęście zdążyliśmy, ale w tym całym ferworze walki i stresie spakowałem wszystkie narzędzia rowerowe do głównego bagażu, który od razu pojechał taśmociągiem do luku. Kiedy podszedłem z samym rowerem do odprawy, okazało się, że nie mieści się on do komory skanera i muszę odkręcić przednie koło. A ja nie miałem już żadnego klucza! Rower musiał zostać w Madrycie i spisałem go na straty. To była kosztowna lekcja, choć później kupiłem sobie nowy, nawet lepszy rower. Jeśli zaś chodzi o inne niebezpieczeństwa na trasach rowerowych, to największym zagrożeniem bywają nieostrożni kierowcy, którzy mijają rowerzystów dosłownie o centymetry.

Podróżuje Pan głównie na rowerze. Dlaczego akurat ten środek transportu?

Z prostej przyczyny – samochód izoluje od świata. Zamykasz się w blaszanej puszcze, jedziesz szybko i widzisz świat tylko przez szybę. Samolotem z kolei lądujesz w punkcie B i omija Cię wszystko, co jest pomiędzy. A rower ma idealną prędkość. Jest na tyle szybki, że pozwala pokonywać spore dystanse, i na tyle wolny, że zauważysz każdy szczegół: uśmiech człowieka na poboczu, zapach kwitnących pól czy lokalny targ w małej wiosce. Poza tym rower zmusza do kontaktu z ludźmi. Kiedy jedziesz obciążony sakwami, zmęczony, pod górę, ludzie sami podchodzą, zagadują, oferują wodę czy pomoc. Rower otwiera ludzkie serca.

Dlaczego na wyprawy rowerowe nie zabiera Pan plecaka?

O, to bardzo ważne: nigdy nie woźcie rzeczy w plecaku, jadąc na rowerze! To niesamowicie niewygodne. Ciężar strasznie obciąża plecy, dusi człowieka, nie mówiąc już o tym, jak bardzo się wtedy pocimy, gdy jest gorąco. Na rower pakujemy wyłącznie sakwy, na plecach nie powinno być nic.

Ile kosztuje profesjonalny rower na taką wyprawę i niezbędny ekwipunek?

To złożone pytanie. Gotowy, idealny rower wyprawowy prosto ze sklepu właściwie nie istnieje, bo zawsze coś nie będzie nam w nim pasować. Ja zazwyczaj kupuję rowery używane, „z drugiej ręki”. Potem sam je remontuję i zakładam swoje podzespoły: nowy łańcuch, zębatki, korbę, dobre opony.

Jeśli chodzi o koszty, to na najtańszym rowerze, jakim jeździliśmy z żoną, sam zakup bazy kosztował około 1500–1700 złotych. Za tyle da się przygotować sprawny sprzęt. Do tego trzeba jednak doliczyć sakwy (kilkaset złotych) oraz namiot, śpiwór i materac – to kolejne 2–3 tysiące złotych. Górnej granicy cenowej oczywiście no limit, ale już za około 2,5 tysiąca złotych można skompletować cały podstawowy sprzęt. I on będzie tak samo dobry, jak ten kupiony za kilkanaście tysięcy! Nawet najdroższa kurtka w końcu przemoknie – jeśli nie od deszczu, to od Waszego własnego potu. Tani namiot chroni przed deszczem bardzo podobnie jak ten za miliony, różnią się tylko trwałością. Na dobry sprzęt można trafić wszędzie.

Jakie przedmioty są zatem najbardziej potrzebne w dalekiej trasie?

Przede wszystkim sprawny rower i ubranie dostosowane do każdej pogody: deszczu, wiatru, zimna i upału. Zawsze powtarzam, że łatwiej jest się rozebrać, niż ubrać w coś, czego nie wzięliśmy z domu. Potrzebny jest też dobry śpiwór oraz wygodny, gruby materac do spania – ja używam lekkiego, mającego 6 cm grubości, który waży tylko 600 gramów. Do tego kuchenka turystyczna. Najlepiej taka na benzynę, bo paliwo kupicie tanio na każdej stacji benzynowej świata. Dzięki temu możemy bez problemu gotować obiad nawet przez 15 minut (np. ziemniaki), na co nie moglibyśmy sobie pozwolić przy drogich i szybko kończących się kartuszach gazowych.

Przydaje się też dobra nawigacja w telefonie. Kiedyś jeździłem z tradycyjnymi, papierowymi mapami. Bardzo za nimi tęsknię, mają swój klimat, ale są ciężkie, niewygodne i trudno znaleźć je w odpowiedniej skali do dalekiej podróży. Podsumowując: w podróży potrzebujecie dokładnie tego samego, co w domu. I nieważne, czy jedziecie na dwa dni, czy na rok – ilość ubrań i rzeczy w sakwach będzie bardzo podobna.

Podróżuje Pan budżetowo. Jak w takim razie wygląda Pana menu podczas wypraw i jakie jest Pana ulubione danie?

Podróżując po Europie, jedzenie kupujemy w popularnych sieciówkach, takich jak Lidl czy Biedronka. Zaopatrujemy się tam w lokalne warzywa, pomidory, ogórki czy mięso. To dokładnie te same produkty, których używają szefowie kuchni w dobrych restauracjach. Z tego, co akurat mamy pod ręką – makaronu, ziemniaków, kuskusu czy tuńczyka w puszcze – tworzymy własne potrawy. Kiedy człowiek jest potwornie głodny po całym dniu drogi, takie jedzenie smakuje najlepiej na świecie.

Jeśli chodzi o kuchnię lokalną, to w Maroku zachwyciło nas *tadżin* (tajjine). To jednocześnie nazwa potrawy i charakterystycznego, glinianego naczynia z pokrywą w kształcie stożka. Gotuje się w tym różne składniki, trochę jak w naszym polskim bigosie. Każde miejsce ma swój smak. Nie mam jednego ulubionego dania – kiedy jestem głodny, smakuje mi absolutnie wszystko!

Co było najdziwniejszą rzeczą, jaką Pan zjadł podczas swoich podróży?

Kiedy człowiek jest potwornie głodny, zje wszystko. Raz w życiu, jeszcze w moich młodzińskich czasach, zjadłem cielecy mózdzek. Nie było to zbyt dobre, a najgorsze, że dowiedziałem się, co to było, dopiero po fakcie! Nie lubię takich rzeczy. Nigdy nie jadłem też ostryg – takie „gluty” w ogóle mnie nie kręcą, choć inni je ujmują i płacą za nie grube pieniądze. Czasami najdziwniejsze posiłki to te, które sam ugotuję na wyprawie, bo



połączenie przypadkowych składników daje makabrycznie udziwniony efekt. Ale po całym dniu na rowerze smakuje wybornie.

Czy w trakcie swoich podróży spotkał Pan kogoś, kto wywarł na Panu wyjątkowo duże wrażenie?

Tak, spotkałem wielu takich ludzi. Największe wrażenie zawsze robi na mnie

po prostu bezinteresowna ludzka dobroć. Pamiętam, jak jechaliśmy rowerami przez Rumunię i zatrzymaliśmy się w małej wiosce. Przy sklepie siedzieli miejscowi panowie i spędzali wolny czas. Podjechaliśmy i zapytaliśmy, gdzie możemy w okolicy rozbić namiot. Jeden z nich podszedł do nas. Ponieważ to była strefa rosyjskojęzyczna, a my z żoną uczyliśmy się kiedyś rosyjskiego w szkole, udało nam się dogadać.

Ten człowiek bez wahania zaprosił nas do swojego prywatnego domu. Sam miał niewiele, jego dom był bardzo skromny, wręcz ubogi, a mimo to ugościł nas wszystkim, co miał. Mogliśmy się tam wykąpać w improwizowanych warunkach... To są chwile, które pokazują, że świat jest pełen dobrych ludzi i dla takich spotkań warto podróżować.

Czy był taki moment podczas podróży, kiedy żałował Pan, że nie jest w domu?

Tak, oczywiście! I powiem Wam szczerze, że moim zdaniem wyjazdy mają największy sens wtedy... kiedy z nich wracamy. Może to brzmi trochę przewrotnie, ale powrót do domu to najfajniejsza rzecz, jaka może nas spotkać podczas całej podróży. Zawsze bardzo chcę wrócić, bo po prostu dobrze mi u siebie. Wbrew pozorom jestem domatorem, uwielbiam miejsca, które znam.

Ciągłe bycie w podróży może człowieka tak samo znudzić, jak ciągłe siedzenie w domu. W życiu ważny jest balans – czas wolny i czas zajęty. Dopiero wtedy, gdy intensywnie coś robimy, potrafimy docenić odpoczynek. Kiedy jestem w domu, po jakimś czasie znów chcę wyjechać, a kiedy jestem daleko – tęsknię za domem. Tak to dziwnie działa i życzę Wam, żebyście sami kiedyś tego doświadczyli, bo to piękne uczucie.

Bardzo dziękujemy za wywiad.

Rymy to moja pasja - rozmowa z poetką Krystyną Naspińską



Skąd bierze Pani pomysły na nowe wiersze?

Zwykle jest tak, że po prostu otwieram rano oczy i jakaś myśl sama przychodzi mi do głowy. Czasami inspiruję się również tym, co zobaczę w swoim najbliższym otoczeniu lub usłyszę w telewizji.

Czy łatwiej pisze się o rzeczach wesołych, czy o smutnych?

Zdecydowanie łatwiej pisze mi się o rzeczach wesołych. Mam bardzo mało smutnych wierszy. Choć oczywiście czasami się one zdarzają – na przykład kiedy wybuchła wojna w Ukrainie, poczułam potrzebę napisania kilku smutniejszych utworów.

Czy ma Pani ulubiony wiersz swojego autorstwa?

Nie mam jednego takiego utworu. Piszę naprawdę bardzo dużo, dlatego trudno byłoby mi wybrać ten jedyny, ulubiony wiersz.

Czy wzoruje się Pani na innych sławnych poetach?

Raczej nie. Bardzo lubię literacką klasykę, ale nie wzoruję się na żadnym konkretnym twórcy. Idę swoją własną ścieżką.

Ile czasu zajmuje Pani napisanie jednego dobrego wiersza?

Trudno jednoznacznie odpowiedzieć na to pytanie. Czasami wystarczy jedna krótka chwila natchnienia. Innym razem piszę dłużej, poprawiam tekst i ciągle coś w nim zmieniam. Bardzo lubię bawić się słowami. Moje wiersze muszą mieć rymy – to dla mnie podstawa.

Co Pani robi, gdy nagle zabraknie Pani pomysłu na odpowiedni rym?

Wtedy zaczynam przestawiać słowa w zdaniu, szukam synonimów i ostatecznie odpowiedni rym zawsze się znajdzie.

Czy woli Pani pisać tradycyjnie na papierze, czy na komputerze?

Właściwie ani tak, ani tak – ja swoje wiersze piszę w telefonie. Mam go zawsze pod ręką.



Czy ktoś czyta Pani wiersze, zanim zostaną oficjalnie wydane?

Tak, zawsze daję je komuś do przeczytania przed publikacją. Chodzi o to, aby wychwycić ewentualne usterki, literówki czy błędy, które mogłam przeoczyć.

Czy rymy w wierszach są zawsze konieczne?

W sztuce nie są one konieczne. Można przecież pisać wiersze białe, czyli bez rymów, ale dla mnie są

one wtedy zbyt płaskie. Gdyby nie rymy, potrafiłabym napisać nawet sto wierszy dziennie! Właśnie dlatego celowo męczę głowę i szukam idealnych połączeń, żeby ten rym w moim utworze się pojawił.

W jakim wieku napisała Pani swój pierwszy wiersz?

Mój pierwszy wiersz napisałam 6 lat temu, podczas pandemii. Wtedy nie można było wychodzić z domu, a ja poczułam ogromną, wewnętrzną potrzebę, aby opisać tę sytuację.

Kim chciała Pani zostać, gdy była Pani w naszym wieku?

Nie pamiętam już tego dokładnie, ale wydaje mi się, że marzyłam o pracy pielęgniarki albo policjantki.

Czy pisanie wierszy to Pani główna praca, czy zajmuje się Pani czymś jeszcze? Jaka jest Pani pasja poza literaturą?

Kiedyś wyszywałam obrazy, rozwiązywałam też bardzo dużo krzyżówek. Te ostatnie zrobiły się jednak dla mnie z czasem za łatwe. Dlatego teraz po prostu odpoczywam i poświęcam wolny czas na pisanie wierszy.

Co poradziłaby Pani osobom, które myślą o tym, by rozpocząć własną przygodę z pisaniem?

Przede wszystkim trzeba dużo czytać. A jeśli czujecie w sercu, że macie potrzebę przelania myśli na papier – po prostu piszcie i się nie wahajcie.

Czy spotyka się Pani z krytyką swojej twórczości?

Oczywiście, uważam, że każdy ma pełne prawo wyrazić swoje zdanie. Jednym moje wiersze się podobają, innym nie. Krytyka jest w tej pracy bardzo potrzebna, ponieważ dzięki niej wyciągam wnioski i staram się pisać jeszcze lepiej.

Bardzo dziękujemy Pani za wywiad.

Ja również bardzo Wam dziękuję. To była dla mnie niezwykle miła i sympatyczna rozmowa.

Koło dziennikarskie

Wkrótce wakacje! Pamiętaj o podstawowych zasadach bezpieczeństwa

Woda i słońce

- Kąp się tylko w miejscach strzeżonych, na wyznaczonych kąpieliskach, pod okiem ratownika.
- W upalne dni chroń głowę czapką lub kapeluszem, pij dużo wody i używaj kremów z filtrem UV.
- Nie skacz do nieznannej wody – dno mogło zmienić swój kształt, a woda może być zbyt płytka.

Droga i podróż

- Przechodź przez jezdnię tylko na pasach i upewnij się, że nic nie jedzie.
- Noś elementy odblaskowe i jasne ubrania, aby kierowcy cię łatwiej zauważyli, zwłaszcza po zmroku.
- Podczas jazdy samochodem lub autokarem zawsze zapinaj pasy bezpieczeństwa.

Las i natura

- Nie zrywaj i nie jedz nieznannych jagód, grzybów czy roślin, ponieważ mogą być trujące.
- Po powrocie z lasu lub spaceru po łące dokładnie obejrzyj całe swoje ciało w poszukiwaniu kleszczy.
- Pamiętaj, że w lesie zachowujemy ciszę i nie płoszymy dzikich zwierząt.

Kontakty z obcymi i numery alarmowe

- Zawsze mów rodzicom lub opiekunom, gdzie i z kim idziesz.
- Naucz się na pamięć numeru telefonu do rodziców.
- W razie niebezpieczeństwa dzwoń pod ogólnoeuropejski numer alarmowy 112, podając swoje imię i nazwisko, lokalizację oraz co się stało.

